Nr. 3 (1617) Warszawa, 20 stycznia 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny, społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Dzieje niedoszłej ugody.

Niech Bóg sądzi, bo widzi, a potym i karze
Ciebie, o nieszczęśliwy nader piwowarze,
Coś łakomie kozackie rabując futory,
Nawarzył Polsce piwa; trzydzieści lat mija
Jako go wespół z nami trzeci król upija...
Widzisz, nie widzisz, boś już robactwu opasem.
Po Szwedzie i Moskalu, Turczyn za szynkwasem,
Był Węgrzyn i Wołoszyn; już i żydzi będą
Nieszczęsnej browar Polskiej trzymali arendą.
(Połocki).

Nie jesteśmy tu kowalami swego losu, albo w nieznacznej bardzo mierze; wymuszona bierność sprawia, że przyjmujemy ciosy z fatalizmem, ale bez rozpaczy, bośmy się do nich nie przyczyniali, mając skrępowane ręce; w tych warunkach nie może być mowy o polityce we właściwym tego słowa znaczeniu.

Tym cięższa jednak odpowiedzialność spada na polityków polskich tam, gdzie oni naprawdę istnieją i gdzie czynną grają rolę, a więc we Lwowie i Wiedniu.

W nich ogniskować się winien duch polski i skupiać powszechny rozum stanu; muszą tam być orle źrenice w oczach i mózgi potężne w czaszkach, by widzieć i myśleć za miljony.

I tu największy spotyka nas zawód, najcięższa dotyka nas klęska. Na niwie galicyjskiej pleni się bujnie beznadziejna rutyna polityczna, jałowy konserwatyzm, bezprzykładne jakieś zasklepienie w ciasnych, lokalnych interesach. Świeżym tego dowodem—dzieje niedoszłej ugody z Rusinami.

Zanim wejdziemy w szczegóły tej opłakanej zaiste sprawy, postawmy ją na szerszym tle politycznym, na co w zupełności zasługuje.

Zatarg polsko-rusiński w Galicji śledzą z za wschodniej granicy oddawna bardzo wytrawne i czujne oczy. Dzięki temu mógł był hr. Bobrynskij wykonać *mouvement tournant* i wniwecz obrócić plany polskich „neosławistów"...

Jeśli słynna polska bezmyślność polityczna wszczyna za lada podszeptem burzliwe alarmy z powodu wzrostu rusińskiej świadomości narodowej—to po stokroć większe — i zasadniejsze — obawy żywią niektórzy rosyjscy działacze. Idea odrębnej Ukrainy, czyli t. zw. mazepinizm wisi nad nimi jak zmora. Niedawno pisał p. Sawienko że kwestje polska, finladzka, ormiańska i t. d. są to sprawy ściśle kresowe, drugorzędne. Zaś kwestja mazepińska uderza Rosję w podstawę jej mocarstwowej potęgi, obejmując olbrzymi obszar ziem od Kowla po Marjupol. I oto — woła p. Sawienko — „Austrja stworzyła w Galicji Piemont mazepiński, który posłuży jej jako taran do rozbicia jedności i całości Rosji".

W ten sam ton naglącej przestrogi uderza i *Nowoje Wremia*, idąc dalej w swoich odkryciach: „rząd austryacki postanowił wynagrodzić Rusinów za gotowość służenia Habsburgom. Nowy minister oświaty Hussarek oświadczył, iż za najpierwsze swoje zadanie uważa założenie wszechnicy ukraińskiej we Lwowie. Można tedy przypuszczać, że Ukraińcy istotnie uzyskają wkrótce we Lwowie wyższy zakład naukowy, stworzony oczywiście nie dla celów naukowych (bo o jakiej że poważnej nauce może być mowa w żargonie austryjacko-ukraińskim...?)[1] ale w celu szerzenia agitacji przeciwrosyjskiej nietylko w Galicji lecz i w sąsiednich ziemiach małorosyjskich."

Nalegał też na to—kończy organ nadnewski—prezes klubu ukraińskiego, dr. Kost Lewicki w memorjale, złożonym w austryjackim ministerjum oświaty.

---

[1]) Określenie *Nowego Wrem*

Powyższe rewelacje ze swej strony poniekąd potwierdza dr. Trylowski wpływowy działacz ukraiński, który dowodzi, że uniwersytet ruski we Lwowie skutecznie zaszachuje wpływy rosyjskie szerzące się w Galicji w sposób „wysoce niebezpieczny dla państwa Habsburgów".

Wzrost agitacji rusofilskiej stwierdził również z niepokojem zjazd ukraiński we Lwowie dnia 17 Grudnia.

Bezgraniczne zaś uznanie i wdzięczność żywić powinno *Nowoje Wremia* dla tych miarodajnych sfer polskich w Galicji, które forytują ze wszech sił „moskalofilów" a „ukraińcom" przeróżne czynią wstręty i szykany. Logiczną też i zrozumiałą jest postawa pieszczonych przez władze polskie „moskalofilów" którzy na samą wieść o zamierzonej ugodzie poczęli wręcz grozić Austrji represjami i karami ze strony Rosji, jeżeli Austrja nie przestanie „popierać ukraińства". — „Rosja — woła *Haliczanin* — nie zniesie ukraińskiego ruchu narodowego w Austrji, tuż pod swoim bokiem. Jeżeli obecnie protektorowie „mazepiństwa" nie posłuchają tej przestrogi, to naród rosyjski zmusi ich do tego siłą."

W chórze tych znamiennych głosów nie zbrakło i głosu warszawskiej endecji. Główny jej organ, z właściwą sobie przytomnością umysłu, jął ostrzegać austryjackich mężów stanu, że tendencje anarchistyczne (!), które się obecnie krzewią wśród protegowanych w Wiedniu „ukraińców", nietylko przysparzają kłopotu Polakom, ale stają się wprost niebezpieczne dla ładu społecznego w państwie austryjackim.

Politycy więc rosyjscy mogą być co do jednego punktu spokojni: jeśli nawet istotnie Austrja tworzy „Piemont ukraiński" u siebie, to miarodajne żywioły polskie w Galicji nie przyłożą do tego ręki, a nawet uczynią wszystko, by temu przeszkodzić. *Nowoje Wremia* jest w błędzie, przypisując Polakom zdolność do planów politycznych, obmyślanych na daleką metę. Nasza opinja polityczna, zaklęta w klasyczny zachowawczy szablon, lubi chadzać po linji najmniejszego oporu nie zadając sobie trudu twórczych rozmyślań.

Taką wytkniętą oddawna linją jest pogarda, nienawiść i lekceważenie dla „hajdamackiej siczy". Niedarmo na dnie świadomości naszej leży utajony staroszlachecki atawizm; w Galicji podsyca go nadto specyficzny układ społeczny, który sprawia, że stają tam przeciw siebie nie dwa narody, nawet nie dwa stronnictwa plemienne, jeno dwie klasy: szlachecka i chłopska. Stąd niezmierna komplikacja sprawy — na naszą niekorzyść, bo niepodobna łudzić się co do końcowych wyników zatargu, w którym reprezentację polskości dzierży niemal wyłącznie w swych dłoniach kasta, wszędzie, na całym globie, chyląca się do upadku.

Wschodnio-galicyjscy obszarnicy przyjęli projekt ugody Polaków z Rusinami jako zbrodniczy zamach na swoje prawa. Instynkt zagrożonej społecznie kasty zawsze górował tu nad zmysłem narodowego interesu. Z tej strony więc próba rokowań pojednawczych spotkała się odrazu z nieprzejednaną opozycją.

„Podolaków" poparli „endecy" wlokąc za sobą ogon przeciętnej, kurjerkowej opinji. Zamiast zastanowić się nad ogólno-politycznym znaczeniem ugody, zamiast rozważyć bezstronnie i ściśle jej

* * *

ECHA PRAWDY.

Anglicy w Rosji.

Londyński *Times*, pragnąc nawiązać ściślejsze z Rosyą stosunki i wyprzeć wpływy przemysłowe niemieckie, wydał specjalny numer objętości 60 stron *in folio* i wypełnił go serją bardzo solidnych artykułów i liczb, charakteryzujących wszystkie dziedziny przemysłu rosyjskiego. Pod względem układu treści, doboru materjałów i techniki wykonania próba wypadła imponująco.

Nie powiodła się zato inicjatorom zachęta przedsiębiorców i turystów brytańskich do częstszych odwiedzin tego dalekiego Wschodu w Europie. Anglik, jak wiadowo, gotów świat cały objechać, ale nigdzie rozstać się nie chce z brytańskim „komfortem".

Zabiegliwy *Times* wysłał tedy specjalnego wywiadowcę do Rosyi, by zbadał naocznie warunki podróży, życia i klimatu i złożył uspakajającą relację. Niestety — relacya mimo najlepszej woli wysłańca — wypadła fatalnie.

Korespendent *Timesa* z naiwnością kulturalnego człowieka wytrzeszcza szeroko oczy na codzienne, powszednie obrazki rodzajowe, jak świadczy następujący ustęp:

— „nie zapomnę tego upalnego dnia gdym kupował bilety na statek w Noworosyjsku. Dokoła kasy tłoczył się i miotał olbrzymi tłum ludzi, z których niektórzy czynili nieśmiałe próby podtrzymania porządku kolejności. Oponowali oni płonnie, ilekroć „porządek" mącił jakiś oficer, żona jego lub kapłan. Była jedna jedyna kasa z maleńkim oknem na wysokości 4 stóp; do tego otworu parli żądni biletów pasażerowie.

W kasie urzędował kasjer, którego to wszystko niewiele obchodziło.

Oto wypisał leniwym piórem specjalny bilet „oficerski", poczym odłożył pióro, przeciągnął się, ziewnął raz i drugi i popił herbaty ze spodeczka.

Zdawał się zapominać zupełnie o spoconym przy kasie tłumie.

Poczym ruchem powolnym jął wypisywać bilety i plackarty dla pasażera, dla jego żony i dziecka — każdemu z osobna, starannie przekreślał coś na odwrotnej stronie blankietów, metodycznie odliczał resztę z 10 rubli, poczym sprawdzał rachunek na „szczotach". Dopadłszy jakiegoś oficjalisty, pragnąłem, by mi wyjaśnił, czemu niema zawczasu zrobionych biletów różnego rodzaju, dlaczego niema biletów dla całych rodzin, dlaczego liczba osób kłóci się z liczbą miejsc wolnych?.. Ale na wszystkie zapytania brzmiała jedna odpowiedź.

— Bo tak było zawsze. Jeśli pan się spieszy, to niech Pan tędy nie jedzie...

warunki, poczęto na wyścigi potępiać „bezczelność i „dzikość" „hajdamaków" oraz szydzić z ich „wygórowanych" żądań. *Kurjer Warszawski* utrzymywał, że wszyscy bez wyjątku Rusini mają jeden tylko istotny program: wyrzucenie Lachów za San. Niedość na tym. „Ze wspólnym programem przeciw Polakom przyjęły partje rusińskie także wspólną taktykę. Tę taktykę hajdamacką, która wydała Kratta i Siczyńskiego. Na zewnątrz zaś prowadzą dyplomację, jaką prowadził Chmielnicki, gdy wypuszczając zagony na Polskę, wiódł jednocześnie układy z Moskwą, Konstantynopolem i Szwedami"

Imię Chmielnickiego rzucone z typową lekkością na szalę, padło złowrogim dźwiękiem ciężkiego miecza. Czy *Kurjer* zapomniał, lub nie wie, że ten człowiek, z pogardliwym przekąsem cytowany, zadał Polsce cios, po którym już się nie podniosła? Toć bunt kozacki takiego nam nawarzył piwa, że, jak pisał w wieku XVII Wacław Potocki —

> Po Szwedzie i Moskalu, Turczyn ze szynkwasem.
> Był Węgrzyn i Wołoszyn; już i żydzi będą
> Nieszczęsnej browar Polski trzymali arendą...

Na nic niepamiętny, pokpiwa sobie *Kurjer* lekko z „gróźb hajdamackich": a inne pisma wtórują mu dufnym przyśpiewem: „albośmy to jacy tacy!.."

Cóż więc dziwnego, że w takich warunkach próba zbawczej ugody niewielkie miała szanse powodzenia. Podjęto zaś ją pod naciskiem Wiednia, na wyraźne żądanie hr. Stürghk'a. Ze strony polskiej poparli ją szczerze namiestnik Bobrzyński i marszałek Badeni, ale sami nie znaleźli oparcia w narodzie.

W rokowaniach przedwstępnych w Wiedniu dr. Kost. Lewicki za główny warunek zgody uznał zabezpieczenie Rusinom trzeciej części wszystkich mandatów sejmowych. „Jeśli Polacy zgodzą na to naczelne żądanie — rzekł prezes klubu ukraińskiego — wtedy drugie żądania usuną się na plan dalszy i będzie można je załatwić drogą kompromisów".

Jak widać, warunki te nie są wygórowane. Rusini tworzą 42% ludności galicyjskiej. W ogólnym przedstawicielstwie krajowym we Wiedniu mają 30% głosów (30 posłów ruskich wobec 70 polaków) natomiast w sejmie Lwowskim, razem z biskupami, stanowią mniejszość zaledwie 15%. Ta krzywdząca nierówność sama przez się jest dostatecznym powodem rozjątrzenia i fermentu. Nie można jej usprawiedliwiać żadnemi względami politycznemi, prócz tych, do których nikt nie zechce głośno się przyznać. Reforma wyborcza w Galicji leży przedewszystkiem w interesie samego sejmu, nad którym wiedeńska Rada Państwa nieskończenie dotąd góruje demokratyzmem swego ducha. Sejm niedemokratyczny w obecnym swym składzie, jest ciałem bez wartości.

Wobec tego słusznie żądają Rusini dla siebie ⅓ miejsc w sejmie co pozwoli im brać udział w opracowaniu reformy wyborczej, do której potrzebna jest większość ⅔ głosów. „Nie mogliśmy odstąpić od tego — pisał rusiński poseł Okuniewski w *Neue Wien. Journ.* — bo i tak już każde rokowania z Polakami budzą nieufność naszych wyborców. Nie nasza wina, że taka nieufność istnieje. Wina to przeszłości, a my ponosimy konsekwencję". I otóż rokowania, na tym postawione gruncie, spełzły na niczym. Ze strony pol-

---

Niemniej zdziwił się nasz Anglik, gdy w natłoczonym pociągu niewielki „bakczysz" otworzył przed nim drzwi wolnego zupełnie przedziału, tudzież gdy w pewnym hotelu kaukaskim policzono mu kąpiel jako „pięć samowarów". To wszystko starał się delegat *Timesa* okrasić szczyptą pogodnego humoru. Ale uśmiech znikł by doszczętnie z jego twarzy, gdyby zechciał wraz z nami połatygować się do biur paszportowych, celnych, podatkowych, gdyby przyszło mu wysyłać listy polecone z poczty na placu Wareckim, lub — o zgrozo!—opłacać patenty w magistracie gdzie widzieć można codziennie żywe obrazy z ostatnich kręgów dantejskiego piekła.

Lecz, by ten przedmiot wyczerpać, musiałby *Times* wydać jeszcze 100 numerów ilustrowanych, licząc śmiało na powodzenie wobec niezwykle sensacyjnej ich treści.

Wobec testamentu.

Obecnie w dobie *der Überwertung aller Werte* nie może się ostać także „uświęcona wiekami" maksyma: de mortuis aut bene aut nihil. Tembardzie nie wolno zasady tej stosować wobec zmarłych, których ostatnia wola przyniosła społeczeństwu krzywdę.

Chcę mówić o testamencie bogatej kobiety niedawno zgasłej w Warszawie która 200,000 rb., wyraźnie trzysta tysięcy rubli zapisała na *fundowanie ołtarzy*.

Wobec strasznej nędzy jaka szczerzy zęby w naszym mieście i w całym kraju, wobec setek tysięcy chorych bez przytułku, wobec miljonów dzieci bez opieki i dachu nad głową, wobec 70% analfabetów — Polka, obywatelka, ofiarowuje krocie na *ołtarze*!!

Nie wiem czy jest drugi kraj na świecie gdzieby w równie strasznych warunkach społecznych ośmielił się kto fundować zbytkowne ołtarze.

Jeśli fundacye takie zdarzają się jeszcze, to zapewne tylko w krajach, w których jest nieskończenie mniej nędzy niż u nas.

I jakąż krwawą ironją, jakim urągowiskiem jest zestawienie, że testament taki podyktowała religja, ta religja, która uczy miłować bliźnich i służyć cierpiącym.

Bynajmniej nie żądamy, z jakimś despotycznym fanatyzmem skrajności, by ludzie wierzący oddawali swe mienie na tępienie religji, na cele wolnomyślne w duchu ateistycznym.

Ale ileż jest celów zgodnych z chrystjanizmem, a przynoszących korzyść społeczną. Każdy szpital, szkoła, ochronka, przytułek dla starców, choćby w duchu religijnym, są dziełem dobra — chronią od nędzy czy ciemnoty, więc w ostatecznym, choć-

kiej proponowano Rusinom 26% głosów w Sejmie, co nie zmieniłoby prawie wcale obecnego układu sił. Rokowania zerwano, Rusini zapowiedzieli dalszy ciąg obstrukcji...

Dnia 11 stycznia otwarto Sejm galicyjski wśród ogólnego podniecenia. Raz jeszcze rozległ się z mównicy sejmowej głos rozwagi obywatelskiej: namiestnik Bobrzyński nakłaniał do zgody. „Jakże byłoby pożądanem — mówił — aby każdy z obu narodów, kraj ten zamieszkujących, wszystkie siły swoje skupił nad swoim wewnętrznym rozwojem kulturalnym i ekonomicznym. Ileż każdy z tych narodów ma tu potrzeb pracy (nie przeszkadzając i nie szkodząc jeden drugiemu), pola i przestrzeni; jakże też każdego, kto patrzy dalej w przyszłość, boleć musi, że siły te marnują się bezpłodnie w tej walce! jaka rozpacz ogarnia, że do tej walki używa się, a często nadużywa, młodzież dorastającą! *Modus vivendi* pomiędzy polakami i rusinami powinien być rzeczą obopólnego ich dobrze zrozumianego interesu, powiem nawet: samozachowawczego instynktu".

Ale samotny głos na miestnika brzmiał nutą beznadziejną; aż nadto było widocznem, że pada na grunt jałowy.

Sejm przeszedł nad nim do porządku dziennego, a jednocześnie obstrukcja rusińska zawrzała zgiełkiem ogłuszającym. Dźwięk trąb, huk pulpitów i blach, przeraźliwe świsty słychać było aż na ulicy, gdzie zgromadzony tłum wchłaniał ze zmieszanem dość uczuciem te budujące odgłosy.

A lwowski organ podolaków, rad z zerwanej ugody, pokpiwa lekkomyślnie: „*Lass' man jedem seine Freude*. Kto woli pracę, niech pracuje, a kto woli gwizdać, niech gwiżdże — aż dokąd sam siebie do *absurdum* nie zagwiżdże!" Pojmujemy dobrze wesoły nastrój gazety zachowawczej, ale go nie podzielamy, bowiem *absurdum* tej całej sprawy może nam się dać gorzko we znaki.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Przesilenie ministerialne we Francji. — Za kulisami sprawy marokańskiej — Nowy gabinet. — Wybory do Senatu. — Wybory w Niemczech. — Opinja Hardena. — Rewolucja chińska: proklamacja d-ra Sunjatsena).

Gabinet Caillaux, mozolnie lawirując po fluktach, rozpętanych sprawą marokańską, utonął tuż u portu. Stało się to w okolicznościach niezwykłych. Oddawna krążyły pogłoski, jakoby w sprawie marokańskiej maczali ręce spekulanci i działacze giełdowi, z wiedzą i poparciem p. Caillaux, zyskując wygodne dla siebie — i dla Niem- [illegible]

Jakoż był p. Caillaux zawsze człowiekiem *de la haute finance* raczej, niż politycznym mężem stanu. Lecz nie sądzono, by swe zamiłowanie do cichych tranzakcji posuwał aż tak daleko, by ponad głowami pp. de Selves'a i Cambona a za pośrednictwem pewnych rzutkich finansistów szukać z Niemcami porozumienia na własną rękę. Dowiedział się o tych zabiegach Clemenceau — podobno z ust samego min spraw zagranicznych. I oto d. 9 stycznia, w sali posiedzeń komisji, mającej roztrząsać traktat francusko-niemiecki, wybuchnął niespodziewa- [illegible]

[illegible] strój, w końcu swego *exposé* złożył solenną deklarację, jako żadnych pobocznych rokowań z posłem niemieckim nie było i być nie mogło.

Wśród ciszy, jaka potym zapadła, ozwał się nagle Clemenceau:

— Panie de Selves, cóż pan na to?

Minister pobladł, pochylił głowę i milczał.

— To mi wystarcza — rzekł sucho „Tygrys".

---

by najdalszym swoim wyniku służą oświacie, postępowi.

I by to rozumieć, nie potrzeba wcale duszy o orlich polotach. Każdy przeciętny człowiek widzi wokoło siebie tyle cierpień, że każdy rozumie chyba jasno, że zmniejszenie tej niedoli jest dobrem najwyższem i że ukojone lub oświecone serca ludzkie są najwspanialszym kościołem Bożym.

Myślę że tak sądzą nawet ci którzy wierzą w istnienie boga uosabiającego dobroć i miłość. Inaczej sądzić mogą tylko ludzie pogrążeni w beznadziejnym, fanatycznym klerykalizmie, i tylko tacy tworzyć mogą fundacje, nie przynoszące najmniejszych korzyści nikomu.

(Jadwiga Olszewska).

Szczury w „Kulturze Polskiej".

Pewien odłam burżuazji, wydającej tygodnik *Światło*, dziwne żywi do *Kultury Polskiej* pretensje. Gniewa go mianowicie, że wyżej nazwany organ potępił krwawy system *vendetty* i *maffii*, stosowany w ostatnich czasach przez niewybrednych działaczy w fachu piekarskim — i zamiast uznać, że ta „dzicz mordująca" według słusznej oceny *Kultury Polskiej*, kompromituje klasę robotniczą, wydawcy *Światła* krzyknęli zapalczywie, że Tow. Kultury Polskiej „kompromituje swój organ w oczach robotników..."

Na tym jednak pretensje *Światła* się nie kończą. Ma ono jeszcze jeden zarzut w zanadrzu, równej conajmniej wagi.

Oto *Kulturze Polskiej* niewolno „lamentować nad naszą bezbronnością wobec zalewu litwackiego", bowiem to może „być zrozumiane, jako żądanie zakazu na ziemi polskiej imigracji pewnych kategorji osób ze względu na ich wyznanie i narodowość, t. j. żądanie z gruntu reakcyjne". Obawy i skrupuły wydawców *Światła* należy ukoić prostą uwagą, że mieszkańcy Królestwa Polskiego nie mają najmniejszej możności wydawania takich „zakazów", natomiast niezależne od nich czynniki rzeczoną imigrację bardzo skutecznie podtrzymują. *Notabene* wiadomo, że „z gruntu reakcyjne żądanie" stawia w ostatnich czasach demokratyczna Anglja, republikańskie Stany Zjednoczone i napół socjalistyczna, przez proletarjat rządzona Australja. A więc słuszność zupełną ma *Kultura Polska* kiedy stwierdza, że „w tym świecie tylko nasza ojczyzna jest oddana na pastwę przybłędom. Tylko naszą ziemię mogą uznać za swoją ludzie, niczym z nią niezwiązani, jej mieszkańcom wrodzy, którzy zatrzymali się w niej popasem..."

Ale *Światło* innego jest zdania. Obwieszcza ono, że „na stanowisku ograniczeń imigracji my (?)

Wrażenie było piorunujące. Sesję przerwano wśród ogólnego poruszenia. Caillaux i de Selves opuścili Senat minister spraw zagranicznych podał się natychmiast do dymisji. Sprężysty i przedsiębiorczy Caillaux zakrzątnął się żywo koło rekonstrukcji swego ministerjum; przytrzymano go jednak za ręce. Clemenceau nie tracił czasu: nikt nie chciał wejść do gabinetu na miejsce de Selves'a, a p. Fallières przyjął prezesa rady ministrów bardzo oziębłe. Nazajutrz runął z trzaskiem cały gabinet; żegnano go bez pobłażania, bowiem opinja francuska jednomyślnie i szczerze potępiła nielojalne próby pokątnych z Niemcami porozumień.

Po raz drugi w ciągu lat siedmiu wypływają na wierzch knowania francuskiej oligarchji finansowej, która lubi pożyczki na cele wojenne i koncesje na czarnym lądzie, ale jak ognia boi się wojny z Niemcami. W jej duchu działał w r. 1905 finansista Rouvier, który, usunąwszy Delcassé'a, poczynił Niemcom znaczne ustępstwa. Ten sam giest pojednawczy wykonał teraz Caillaux, obracając w niwecz pracę tegoż Delcassé'a. Tym razem jednak sprawa przybrała inny obrót: Delcassé pozostał, a Caillaux ustąpił.

Świadczy to, że w ciągu tego czasu wiele się zmieniło i że, jeśli francuska oligarchja finansowa umie intrygować w kulisach, to jednak na widowni życia publicznego rządzi i decyduje — naród.

Wypadek wywarł w Anglji przykre wrażenie, które nowy rząd będzie musiał zażegnać. Na jego czele stanął Raymond Poincaré, człowiek wybitny i poważany, a ważniejsze portfele dzierżą: Briand, wiceprezes rady ministrów, min. sprawiedliwości; Bourgeois, min. pracy, Steeg — spraw wewnętrznych, Delcasse — marynarki, Klotz — finansów. Nowy gabinet, przyjęty powszechnym niemal aplauzem, taki sformułował program: ratyfikacja umowy z Niemcami, porozumienie z Hiszpanją co do Marokko, utrwalenie sojuszów i przymierzy, wzmocnienie armji i floty. W sprawach wewnętrznych: statut dla urzędników i reforma wyborcza (powszechne, proporcjonalne prawo głosowania).

Wśród zgiełku tych wydarzeń wybory częściowe do Senatu przeszły bez wrażenia. Na 100 miejsc wakujących wybrano: 1 socjalistę zjedn., 1 soc. niezależn., 49 radykalistów, 17 republikanów lewych, 24 liberałów i 6 zachowawców. Wybory stwierdziły przyrost lewicy radykalnej [illegible]

Wielkie natomiast budziły zajęcie wybory w Niemczech, gdzie przewidywano walne zwycięstwo socjalistów. Jakoż w pierwszych zaraz głosowaniu, wstępnym bojem zdobyli oni 66 mandatów (w r. 1907 — 38). Konserwatyści tracą 11 mandatów, partja Rzeszy — 7, antysemici — 5, centrum — 1, narodowi liberałowie — 14, postępowcy — 9. Ściślejsze dopiero głosowanie określi charakter przyszłej Izby; wiele tu zależy od bloków doraźnych ostatniej chwili. Gdyby taki blok zawarto na lewicy, większość rządowa klerykalno-zachowawcza byłaby złamana; na to się jednak nie zanosi.

Tryumf więc socjalistów będzie miał znaczenie czysto moralne. Zagadnięty w tej kwestji stary Bebel [illegible]

— Wolę 40 miejsc w Izbie za 4 miljony głosów, niż 100 mandatów z 3 miljonami głosujących.

Socjalna demokracja, jak widać, przekłada wciąż jeszcze agitację nad politykę. Socjalizm niemiecki jest czymś *par excellence* teoretycznym, jak teoretycznym jest Reichstag, nie mający żadnego wpływu na sposób rządzenia. Maksymiljan Harden, w rozmowie z korespondentem *Matina*, wręcz powiedział: „Robotnik nasz nie zrobi rewolucji. Za dużo miałby do stracenia, a położenie jego nie jest najgorsze. Jego „marksizm" opiera się na „ewolucji". Jego mistycyzm nie idzie tak daleko, by go wystawić miał pod lufy karabinów repetjerowych, a w gruncie rzeczy dumny jest on ze swej ojczyzny i gotów krew za nią przelać.

— Mieliśmy już 81 socjalistów w Izbie i działo się nieźle. Przypuśćmy, że będzie ich 120; niewiele to nam zaszkodzi...

Gdy się to dzieje w Europie, jednocześnie w Chinach dynastja mandżurska dogorywa. Dni jej są już policzone; rodzina cesarska chce tylko uzyskać stosowne apanaże i osiedlić się w zamku mongolskim Jehol. Tymczasowy naczelnik rządu, prezydent Sunjatsen pożegnał ją manifestem, zwróconym do wszystkich narodów, gdzie charakteryzując minione rządy mandżurskie, powiada:

— Była to zbrodnia obrazy ludzkości i obrazy cy-

---

nie możemy (!) stać nietylko ze względów zasadniczych, ale także dlatego, że jesteśmy narodem emigrantów i sami protestować musimy przeciwko traktowaniu jako przybłędów setek tysięcy Polaków, których mus ekonomiczny zagnał do Westfalji, nad Ren, do Ameryki.."

Coprawda, nigdzie, żadni emigranci nie ważą się rzec do środowiska: „ten kraj przestaje być waszą własnością." Natomiast sami, zazwyczaj, oddają się na własność krajowi, jako lojalni jego współobywatele.

Inaczej poczyna sobie pewien odłam żydostwa, świeżo do nas przybyłego; do niego też stosuje się właściwe i trafne miano „szczurów" i „przybłędów" rzucone ze szpalt organu *Kultury Polskiej*, o co obrazili się mocno wydawcy i publicyści *Światła*.

Nic dziwnego zresztą, bo sami proceder szczurzy naśladują.

Wie coś o tym *Światło* i woła do twórców Towarzystwa w cytowanym wyżej wystąpieniu:

— Możecie zwalczać zalew litwacki i potępiać „dzicz mordującą" w jakich wam się podoba pismach—ale nie wolno wam czynić tego w organie Towarzystwa k t ó r e n i e j e s t w a s z ą w ł a s n o ś c i ą!

Powiedziano dość wyraźnie językiem rdzennie s z c z u r z y m.

(Orion).

Dwa Shyloki.

Stawiamy przed oczy naszych czytelników dwa rodzajowe obrazki, ręcząc za ich autentyczność.

W obrazku pierwszym osobą główną jest typowy lichwiarz w kapocie; w drugim — okazalsza występuje postać ultra katolickiego, uobliwego członka Rady Państwa w pięknie skrojonym tużurku.

A oto giesty obojga w ścisłym zestawieniu

Ktoś, komu zdarzyło się dostać w łapy lichwiarza-kapotowca, musiał uiścić nietylko zaciągnięty dług z wysokim procentem, ale dodać do tego pokaźną sumę tytułem półrocznego jeszcze procentu. Tak bowiem opiewał rewers w ręku lichwiarza będący.

W takiej opresyi udał się pokrzywdzony do rabina z ul. Twardej i sprawę wyłuszczył. Rabin zsunął brwi, pogłaskał brodę i wezwał winowajcę przed swoje oblicze.

— Tyś pobrał należność i procent za pół roku?

— Tak jest, rebel wyznał lichwiarz pokornie.

— Coś uczynił z temi pieniędzmi?

— Przebacz, rebe, ja... umieściłem je na cztery procent w banku.

— Natychmiast — huknął rabin — oddaj te-

wilizacji. Z biegiem lat zrobili z siebie i z naszego narodu istne pośmiewisko świata. Nowy rząd — kończy odezwa — podniesie poziom oświaty i dobrobytu, zmieni kodeks cywilny, karny, handlowy i górniczy, zreformuje finanse, ustali wolność handlu, zapewni zupełną tolerancję religijną. „Rzeczpospolita ma nadzieję, że będzie przyjętą do społeczeństwa narodów, nietylko by korzystać z praw międzynarodowych, lecz aby przyłożyć rękę do wielkiej i wzniosłej pracy pod hasłem kultury i postępu".

Polak, który po szkodzie nie zmądrzał.

Wybory do parlamentu niemieckiego przyniosły Polakom moralną klęskę. Lat temu 5, otrzymali oni odrazu 19 mandatów a w pięciu okręgach przystępowali do wyborów ściślejszych. W tym roku wstępnym bojem zdobyli tylko 15 krzeseł a w 10-ciu okręgach do ściślejszych stają wyborów. Być może, że w ostatecznym rezultacie reprezentacja nasza liczebnego uszczerbku nie poniesie, ale nie o to chodzi. Jeden lub dwa głosy więcej w niemieckiej izbie nie zmienią stosunku sił na naszą korzyść, gdyż jesteśmy tam zupełnie odosobnioną garstką. Jakościowo wartość i znaczenie Koła polskiego spada z roku na rok tak dalece, że dziś już nie o to jest troska, co polscy posłowie mówić tam będą, ale czy wogóle będą umieli mówić, gdyż — jak stwierdził człowiek bądź co bądź znający miejscowe stosunki, pan L. Romocki — niema między nimi ani jednego mówcy.

Że niema polityków, wiemy oddawna.

Wybory w zaborze pruskim mają raczej znaczenie rewji, zmierzenia sił. Ważniejszym jest, ilu stanie przy urnie, niż ilu pojedzie do Berlina. W tym oświetleniu rezultat wyborów jest klęską. Powiększa ją jeszcze ta okoliczność, że porażki doznaliśmy na Górnym Śląsku, na ziemi za Piastów jeszcze straconej a dzięki ludowi polskiemu w ostatnich dziesięcioleciach odzyskanej. Zwycięstwo to zresztą było naturalnym, żywiołowym zjawiskiem. Okręgi śląskie stracić mogłaby tylko całkiem nieudolna, niepoczytalna polityka. Wszakże tam ludność polska stanowi wyższy procent niż w Poznańskiem i Prusach Zachodnich; dochodzi do 80 na 100.

Dziennik Poznański, dając dowody oburzającej i zdumiewającej tępości umysłowej, pisze: „Nie wiadomo, gdzie szukać właściwych przyczyn tej niespodziewanej porażki". Doskonale wiadomo. Bezwzględność, przypominająca wprost pańszczyźniane czasy, z jaką traktowano najistotniejsze interesa śląskiego robotnika a którego potraktowano jak istne bydło wyborcze, musiała wyczerpać baranią cierpliwość najpotulniejszego w świecie, polskiego ludu. Naprzód wybierał posłów polskich, których Koło nie śmiało przyjąć do swego grona, aby nie obrazić katolickiego centrum. Potym przełamano lękliwość i z wielkim tryumfem wprowadzono do sławetnego Koła sławetnego Korfantego. Lud wytresowany do bronienia go wszelkimi siłami przeciw polskim socjalistom, przeciw katolikowcom, czyli zwolennikom Napieralskiego, dowiedział się w końcu, że między panem Napieralskim a panem Korfantym stanęła umowa, mocą której wyborcy stają się ich wspólną własnością. Nie dość na tym, mandatarjusze Górno-śląskich górników i hutników uznali za rzecz właściwą głosować za reformą finansów, zwalającą cały ciężar podatkowy na barki szerokich mas i za utrzymaniem lichwy zbożowej, w momencie, kiedy drożyzna artykułów spożywczych stała się klęską publiczną. I nie na tym koniec jeszcze: posłano do jednego z najpewniejszych swych okręgów Śląskich takiego zdecydowanego, jawnego agrarjusza jak hr. Mielżyński, aby mu jaknajbardziej ułatwić wstęp na trybunę, z której znowu wołać będzie o protegowanie junkierskich kieszeni kosztem robotniczych żołądków. Interes narodowy wymaga rzekomo ofiar tylko ze strony tych, którzy nic już

mu gojowi cztery procenty i żeby to mi się więcej nie powtórzyło!

Gorzej — znacznie gorzej — wyszedł pewien obywatel na tranzakcji z arcypobożnym członkiem Rady Państwa, który udzielił mu pożyczki na 7% z półrocznem wymówieniem. Gdy doszło do wypłaty, poseł dobył skryptu i zażądał procentu za pół roku.

— Ależ, panie szanowny — oponował dłużnik—wypłaciłem wszak panu gotówkę, która przyniesie stosowne odsetki; nie żądasz pan chyba podwójnego procentu.

— A właśnie, że żądam — odparł sucho poseł—to moja rzecz, a to pański skrypt.

I gestem Shylocka wytrząsał trzymanym w ręku papierem.

Wszelkie perswazje były płonne. Jakkolwiek pretensja pana posła sprzeczna była z przyjętą etyką a nawet z kodeksem cywilnym, musiał nieszczęsny dłużnik uiścić się z dopłaty, przysięgając sobie w duszy, że nigdy nie będzie miał do czynienia z katolickimi członkami Rady Państwa, na których wszak żaden rabin z ul. Twardej nie wywrze dobroczynnego wpływu. Jeden z obecnych adwokatów wyszedł, nie podając ręki członkowi Rady Państwa, a towarzyszący mu kolega podał owemu dwa palce.

Pan G. zniósł to z chrześciańską pokorą, banknoty schował do kasy i siadł wygodnie w fotelu, otoczony kłębami dymu hawańskiego i odorem własnej świętości.

n.

Koniec Zabawy Książęcej.

Z dniem 1-go stycznia wszystkim pracownikom *Awiaty* polskiego pochodzenia, wymówiono miejsca; warszawska fabryka samolotów po kilkomiesięcznym istnieniu pod patronatem książąt Lubomirskich przeszła na własność rządową kosztem 25 tys. rs., podczas gdy utopione w niej sumy sięgają podobno 300 tysięcy, tyle bowiem kosztowała książęca zabawka.

Jużcić—kiedy ma kto dużo pieniędzy i trwoni je według własnego widzimisię — to jego sprawa prywatna i społeczeństwu do tego zasię.

Nie mniej jednak upadek *Awiaty* zmusza nas do melancholijnych przypomnień, iż dotąd nie posiadamy w kraju fabryk, gdziebyśmy własne wyrabiać mogli żniwiarki, maszyny, wagony, tramwaje, lokomotywy, samochody, rowery, lub nawet świece i watę, lub nawet kalosze i nici; to też bodaj żadna z tych najpierwszych potrzeb cywilizowanego kraju nie może być zaspokojona własnemi środkami; natomiast bujna fantazja i szczodra szka-

do ofiarowania mieć nie mogą, gdyż dają nad możność. Interes narodowy wymaga zwalczania polskiego socjalisty Biniszkiewicza, ażeby wyśrubować na ławy poselskie polskiego obszarnika, lub polskiego księdza, lub wreszcie polskiego robotnika ex-policjanta, który solidarnie z Kołem polskim pójdzie na pasku centrum, związanego w czarno-niebieski blok z konserwatystami, czyli hakatystami. Interes narodowy pozwalał się wahać, czy nie należałoby w jednym z okręgów poznańskich zrzec się własnego kandydata przy pierwszych wyborach, a dopomódz do wyboru dobrego katolika, hr. Oppersdorfa — mimo że dobrzy katolicy wszędzie z dobrymi protestantami i doskonałymi hakatystami idą ręka w rękę dla zwalczania polskich kandydatów i że arcykatolik, biskup chełmiński, usuwa wszystkich księży polskich z kas oszczędności i spółek zarobkowych, nie tykając niemieckich proboszczów, zajmujących analogiczne placówek.

Po tych wszystkich kryminalnych nonsensach, fałszach, krętactwach, wymagać od ludu polskiego, na Śląsku czy gdzieindziej, ufności do działaczy i agitatorów Koła polskiego jest albo naiwnością albo bezczelnością.

Do jakiego stopnia dochodzi tam niepoczytalność polityczna, dowodzą takie naprzykład korespondencje, jak pana Piasta w *Kurjerze Warszawskim*, dla którego cała walka stronnictw niemieckich sprowadza się do rywalizacji protestantyzmu z katolicyzmem. Biedne jagnię, niemieckie centrum, napadane jest przez bandę wilków, czyli „protestantów wszelkich odcieni" do spółki z bezwyznaniowcami — a oparcie znajduje tylko w „chrześcijańskich" konserwatystach, to jest tych, którzy uchwalili chrześcijańską kolonizację i chrześcijańskie wywłaszczenie. Tylko „zasady katolickie" mogą budzić niechęć dla centrum, które przecież jest tak lojalnie monarchiczne i narodowe!

Pan Piast wygłasza i inne osobliwości. Oto naprzykład „pastorowie protestanccy biorą najczynniejszy udział w ruchu przeciwreligijnym w Niemczech", — a hasłem wyborczym w dniu 12 stycznia 1912 roku miało być „precz z Rzymem".

Ani wątpić, że cała ta mądrość polityczna spłynęła na pana Piasta w winiarni pana Phitznera, gdzie kanonicy poznańskiej kapituły podniecać zwykli swe nadwątlone siły umysłowe wytrawnym węgrzynem.

J. Tarczewski.

Biegunowi wrogowie demokracji.

3)

(Ciąg dalszy).

Na mętne, leniwe fale współczesnej umysłowości polskiej pchnął imię Jerzego Sorela, jako bojowy okręt, Stanisław Brzozowski. Gwałtownie, całym swego natchnienia wichrem, wydął purpurowe żagle tego okrętu, jawiąc go w łunach jakiejś nowej, mistycznej jutrzenki. „Za każdym razem,— pisał Brzozowski [1]),—gdy powracam do wielokrotnie już przestudjowanych książek Sorela, czuję się szczęśliwszym, coraz pełniej obejmuję i dostrzegam bezmiar pracy, dokonywanej przez tego wielkiego myśliciela i głębokiego człowieka... Czytanie jego pism jest nieustannym wzrostem intelektualnym: on to najdoskonalej dziś włada metodą przechodzącą od wyników myślowych do samego procesu życia, które je stworzyło. Nie wykłada on. Stoi w żywym punkcie myśli; sam bezpośrednio z wewnątrz nią kieruje, jednocześnie wyposaża on nas w nową wiedzę i w wytwarzający ją i ujmujący organ... Długie lata jeszcze nie będzie pomiędzy Sorelem a światem czytelników stosunku, prócz tego, który scharakteryzował G o e t h e: sollt was zulernen. Dzięki Sorelowi materjalizm dziejowy zmienił całkowicie swe oblicze. Posiadając gruntowną wiedzę matematyczną, źródłową znajomość

[1]) P. „Legenda Młodej-Polski", str. 79 i 80

tula magnata powołała do życia specjalną instytucję gwoli rozrywce kółka przyjaciół i amatorów, których mogli warszawianie (za rubla) oglądać na tle przestworów niebieskich, oni zaś widzieć ten padół łez *à vol d'oiseau*.

Jednocześnie przemysł niemiecki porobił w naszym kraju nowe olbrzymie zdobycze. Łódź promieniuje już na całe Królestwo potęgą swoich kapitałów i twórczą energją obcych mózgów. Handel żydowski z Warszawy zdobywa bliski i Daleki Wschód, a prasa polska pełna jest utyskiwań na rosnące wpływy przybyszów i zachęt beznadziejnych ku wyparciu ich z przemożnych placówek.

Ani nam Łodzi nie spolszczyć w tych warunkach, ani mierzyć się handlem z litwakami; niedługo znów sławić będziemy nababa, który włoży pół miljona w budowę fabryki maszyn do zabijania czasu—wyłącznie na własny i ziomków swoich użytek.

Fatalne miłosierdzie.

Zawarty w n-rze 50 r. ub. artykuł nasz *Słówko o Belmoncie* ściągnął na siebie oburzenie opinji... dwudziestu kilku osób, które za obywatelski swój obowiązek poczytując protest przeciwko zdaniu naszemu, wystawiły jednocześnie celujący stopień ze sprawowania p. Belmentowi, jako „uczciwemu człowiekowi" i „odważnemu publicyście". Jakby dla spotęgowania efektu, protest ukazał się naraz w dwóch pismach. Publiczność tedy pijąc kawę poranną, z zadowoleniem i z ulgą wyczytać musiała wiadomość, że w Warszawie mamy o jednego uczciwego człowieka i o jednego odważnego publicystę więcej. P. Belmont, który przeciwko publicznemu ratownictwu swej „uczciwości" i „odwagi" natychmiast się nie sprzeciwił owszem, jako punkty sporne, poddawszy je głosowaniu powszechnemu, w Polsce uzyskał dwadzieścia kilka białych gałek... za sobą, tym samym uświęcił i niejako rozwarł pole dla zbierania, również drogą plebiscytu, gałek czarnych przeciwko sobie.

Dla nas, przyznać musimy, jest to niespodzianką. My, bowiem, ze swej strony, nie wątpiliśmy nigdy o uczciwości ani o bezinteresowności lub odwadze tego człowieka. Myśmy dostrzegli w nim tylko zanik poczucia dumy i godności.

Tego atoli zarzutu nie może chyba obalić fakt schronienia się p. Belmonta, przed ołtarzem miłosierdzia publicznego, bo świątynie miłosierdzia mają niskie drzwi i wchodzi się przez nie z pochylonym karkiem.

świata starożytnego... łachową znajomość... różnostronną kulturę... wszechstronne wykształcenie, niezmierne oczytanie... gruntowne, jedyne dziś rozumienie całej rozciągłości pracy myślowej P r o u d-hona[2]), orjentujące się w świecie sztuki i literatury prawa, ekonomji, metodologji, filozofji...jest Sorel jedną z najwszechstronniej i najgłębiej pracujących głów nowoczesnych..."

Pod tak grzmiącą salwą uroczystych powitań wpłynął Jerzy Sorel... na mielizny naszej bezradnej opinji politycznej. Jak przez sen wyciągnięto ku niemu, niby ku zbawcy, tęskne ramiona i — sympatje. Mimo wszelkie zawody i rozczarowania, żyje śród nas i o każdej wiośnie rozkwita, dotąd, idea opatrznościowa, ze wszystkich idei polskich najżywotniejsza. O każdej wiośnie pokrywa się ona różowym, jak świt, kwiatem obietnicy, że ktoś tam... gdzieś tam... za nas... dla nas, ho! ho!.. Tychże znamion męża opatrznościowego jęły się nasze przeczucia i tęsknoty doszukiwać właśnie — w Sorelu. A może on? Może on to właśnie tai w sobie ów burzący nabój, który wszelką przemoc rozbije? Wszak odwołuje się do przemocy, wszak on gloryfikuje gwałt („Reflexions sur la violence"), a przecież gwałt tylko się gwałtem odciska!.. Tę naiwną, napół świadomą propagandę syndykalizmu przerwała wczesna śmierć Brzozowskiego, który względem mistrza francuskiego pełnił misję Pawła apostoła, wieszczącego „ewangelję śród pogan".

Rewolucyjna korweta Sorelowa chwiała się po śmierci St. Brzozowskiego czas pewien na prądach naszych bez kierunku, aby niebawem zawinąć do przystani zachowawczo-katolickiej, gdzie też ją rychło z flag czerwonych i dział bogoburczych rozbrojono...

* * *

Zajęcie postawy jasnej i wyrozumowanej w tej sprawie, dla nas, postępowców i demokratów, jest rzeczą nader pożyteczną, co więcej, jest rzeczą niezbędną. Konieczność bowiem od nas żąda rozwiązania tego węzła sprzeczności, w którym krzyżują się ze sobą najrozmajtsze dążności umysłowe, i który chwytają do rąk, aby go silniej jeszcze splątać, wszyscy ci, którzy się czują niezadowoleni, pełni jadu goryczy i zemsty.

* * *

Jakież tedy wady, jakie winy obarczają demokrację, zdaniem jej przeciwników?

Wybitny uczony francuski, Jerzy Guy-Grand, poddał je wyczerpującemu rozbiorowi w grubym świeżo wydanym tomie swej pracy [3]), w której wszystko mogłoby zasługiwać na pochwałę, przedmiotowość w wykładzie, wysoka kultura i ścisłość logiczna, gdyby nie pewna chaotyczność oraz zbyteczne często powtarzania, utrudniające czytanie książki i zamącające dobitność słusznych niewątpliwie wniosków.

Trzymać się będziemy tej książki w jej ogólnych linjach, rozpatrując zagadnienia w porządku danym od autora, z pominięciem wszakże mętnego i zbędnego balastu, wtrącając natomiast między uwagi autora także spostrzeżenia własne.

W każdej rozprawie pierwszym warunkiem zwycięstwa bywa zapoznanie się ze stanowiskami nieprzyjaciół. Nieprzyjaciele zaś demokracji, jak nadmieniliśmy, zajmują dwa bieguny skrajne: na jednym stoją wstecznicy, na drugim syndykaliści.

Przyjrzyjmy się naprzód pozycjom obozu wstecznego.

Maurras i jego sprzymierzeńcy zwalczają demokrację z punktu widzenia „naukowego":

— Polityka, — mówi wciąż i powtarza Maurras—jest niczym innym jak tylko zastosowaniem socjologji, i podlega z tego powodu wszelkim rygorom jej naukowości".

Jako uczeń H. Taine'a i P. Bourgeta, Maurras (acz w niektórych głośnych polemikach temu zaprzecza) snuje łatwe pomysły socjologiczne na kanwie biologji,i myśl jego całą można by zawrzeć w następującym rozumowaniu: społeczeństwo wszelkie prawidłowo może być zorganizowane tylko wówczas, gdy funkcje wszystkie są w nim uregulowane w ten sam sposób, co w ludzkim orga-

[2]) Stanowisku Proudhona w konflikcie bieżących zagadnień myśli społecznej i politycznej poświęcimy niebawem studjum szczegółowe. (Przyp. Red.)

[3]) Georges Guy-Grand, *Le procès de la démocratie*, Paris, Armand Colin, 1911.

Gustaw Olechowski.

FETYSZ.

(Ciąg dalszy).

Trafił do Londynu właśnie na sezon letnich wyścigów w Epsom. Kandydatem na derbistę sławy wszechświatowej był koń księcia Six'a—Idiot; cały Londyn o tem tylko mówił, pomimo że wrzała wojna angielsko-burska, w Niemczech strajkował cały przemysł metalurgiczny, w Indjach był głód, w Chinach dżuma, w Armenii rzeź, w Hiszpanii rewolucja, we Włoszech 5 miast wytrzęsło się w przepaść a 5 zalały wulkany. Wszystko to nie istniało wobec derby w Epsom.

Zirytowało to Mistera Viviena. Pojechał w wilię derby do księcia Six'a z propozycją kupna Idiot'a. Six zwołał całą rodzinę, by zobaczyła sławnego już Mistera Viviena Dollara, poczem objaśnił, że mógłby konia sprzedać, ale wobec szans, jakie koń jego ma na jutro, wolałby go sprzedać pojutrze.

— Chcę kupić zaraz, właściwie dziś — rzekł stanowczo Vivien.

— Miljon dolarów—odparł krótko Six.

— All right. Proszę kazać wydać mi konia.

Gdy mu przyprowadzono jedwabną kołderką przykrytego potwora na 4 szczudłach, bez ogona prawie, chudego, jak dochody polskiego literata, Vivien zostawił Six'owi czek, kazał konia osiodłać i ku zupełnemu ogłupieniu rodziny książęcej i służby społem, siadł na jutrzejszego zwycięzcę Anglii i pojechał sobie do hotelu.

Tegoż dnia wyszły nadzwyczajne dodatki do pism z opisem zdarzenia, a mister Vivien otrzymał kilka wizyt reporterów, sportsmenów i bookmakerów z zapytaniem czy Idiot będzie jutro biegał.

— Dziś jeszcze Idiot jedzie ze mną do Paryża, gdzie będzie spacerował podemną codziennie w lasku Bulońskim. Wasz Londyn jest partykularzem, już mnie tu wszyscy znają i niemam spokoju na ulicy. Może w Paryżu zginę w tłumie.

Jakiś sportsmen rozpłakał się na wieść, że Idiot,

nizmie; podobnie, jak w porządku zjawisk biologicznych rozmaite czynności spełniane być mogą jedynie przez narządy ściśle zróżnicowane, tak w dziedzinie politycznej, również, czynności mogą być pełnione tylko przez organy właściwe, uniezależnione całkowicie od organów innych, niekompetentnym: w szczególności pełnione być winny przez króla.

To pojęcie podziału pracy społecznej ma być niejako odbiciem biologicznego podziału czynności w organizmie. Zasadniczo, nie różni się od powyższego pojęcia pomysł Augusta Comte'a, który jedynie miasto króla, pragnąłby ua szczycie budowy państwowej widzieć — dyktatora; każdy zaś dyktator, — według przekonania Comte'a, — powinienby mianować swego następcę, ustalając w ten sposób dziedziczność socjokratyczną zamiast dziedziczności fizjologicznej.

W chwili obecnej naśladowca jego i uczeń— Leherme, aby obalić ustrój parlamentarny, będący — jego zdaniem — przyczyną naszego rozkładu moralnego, żąda również ustanowienia dyktatury, żąda jej nietylko dla powodów, wyłuszczonych przez „mistrza", ale także dlatego, iż „niebezpieczeństwo jest nagłe", a więc „nie należy ograniczać, przez wyczekiwanie monarchji absolutnej, prawdopodobieństwa ratunku".

Wszelako — będzie li to król, czy też dyktator—w jednym zgadzają się nacjonaliści—wstecznicy z pozytywistami ściśle comte'owskiego pokroju: w domaganiu się despoty, któryby wyzwolił nas z pod panowania nieposiadającej kompetencyi rzeszy demokratycznej. Domagają się tego, — rzecz prosta, imieniem nauki; a także — imieniem tradycji, zamiłowania przeszłości, ukochania tego, co trwa, co sięga z wieku na wiek, imieniem „genjusza ciągłości".

Powstają oni zgodnie przeciwko czynnikowi, który nieustannie ową ciągłość narusza: przeciwko indywidualizmowi.

Indywidualizm, — orzekł Comte, jest buntem osobnika przeciwko gatunkowi, jest protestem anarchistycznym osobniczej fantazji przeciwko naukom wiekowego doświadczenia, jest dowodem pychy niepomiernej, jest naczelnym objawem choroby, trawiącej cały Zachód. Choroba ta rozsadza rodzinę: miast nierozerwalnego związku, który utrwala i przedłuża się w dzieciach, powstają na gruzach rodziny osoby obce, których przypadek jedynie z sobą połączył i przypadek wnet rozłączy; [4]) w następstwie choroba przerzuca się do różnych innych instytucji, obejmując w końcu całe społeczeństwo, w którym przecina wszelkie węzły i łączniki zatrutym ostrzem niepohamowanej krytyki.

Wstecznicy z radością przyjmują Comte'a za sprzymierzeńca, i, odwołując się do jego argumentów, wnioskują wraz z pozytywistami: — ustrojem najbardziej sprzyjającym rozpętaniu indywidualizmów, jest ustrój demokracji. Demokracja, wedle nich, już w samym określeniu swym, wyłącza po za zawias wszelkie pierwiastki organizacyjne. Jest ona w gruncie — liberalizmem, który ze swej strony nie różni się od anarchizmu. Demokracja jest rządem liczby: liczba zaś to nic innego, jak tylko surowe zbiorowisko osobników. Miast owej wielkiej rzeczy statecznej i trwałej, która zowie się interesem narodowym (wyższym ponad sprawy jednostek), wy — powiadają reakcjoniści do demokratów - przedstawiacie jedynie ogół interesów osobniczych, obejmujący tylko chwilę teraźniejszą: na tym polega „nieszczęsna" doktryna Rousseau'a i również doktryna — demokratyczna. Dzięki głosowaniu powszechnemu, będącemu wyrazem tej doktryny, nieuk ma możność głosem swym—niekompetentnym, mylnym lub przekupionym — zburzyć budowę mądrości politycznej i zachowawczości szeregiem wieków utrwalonej. Oto jest uświęcenie ze strony rządu oporu nieuctwa przeciwko panowaniu wiedzy! Oto uświęcenie buntu żądz i kaprysów przeciwko rozumowi! oto, wreszcie, uzbrojenie jednostki przeciwko interesom gatunku!

* *

Czytelnik, któryby, w tym miejscu, zaskoczony nieco tylu ciężkimi oskarżeniami, zapytał sam siebie ze zdumieniem: — w jakiż sposób, mocą jakiego czarodziejstwa, mogło utrwalić się coś tak niedorzecznego, jak rządy demokratyczne? — odpowiedzieć musiałby sobie rozwinięciem dłu-

4) Warto przypomnieć zdanie Pawła Bourgeta o owym genjuszu ciągłości: ce génie du prolongement qui fait poser ton ce qui est sur tout ce qui fut".

---

miast być bohaterem Albionu, zostanie wierzchowcem na paryskim bruku.

— Bardzo mi się podobał Idiot,—mówił do wizytatorów Vivien.—Trzęsie jeźdźca jak żelatyna leguminę, ale mi to właśnie potrzebne dla zdrowia. Przytem pokracznie wygląda, więc niezwykle. My amerykanie lubimy most original creatures.

Z powodu wyjazdu z kraju Idiot'a Anglia okryła się żałobą, książe Six z rodziną musiał emigrować z ojczyzny, gdyż chciano go zlynczować, a Idiot jechał z Vivienem do Paryża.

Nieszczęsny Vivien wolniej jechał, niż drut telegraficzny niósł o nim wszelkie szczegóły do redakcyi dzienników. To też na stacyi już zgotowano jemu i Idiot'owi owację, jak ukrop gorącą.

Zmartwienie ciężkie osiadło na duszy Viviena, bo chciał się bawić, a tymczasem nim się bawiono, nieprzyzwoicie i głupio.

— Że mi Six sprzedał szkapę? Wielka rzecz! Vivien już na tyle rozejrzał się w świecie, że był pewny, iż człowiek wszystko sprzeda, gdy mu się trafi kupiec. Murzyni wszak żony sprzedają. A jeżeli w Europie tego nie robią (choć i to się zdarza), to tylko dlatego, że mąż każdy radby być dostawcą, żaden—nabywcą.

Ale nazajutrz pojechał na przejażdżkę do Bois du Boulogne, bo słyszał, że tam cały Paryż ujrzy, i kobiet pięknych więcej, niż wypatrzeć można, nie mówiąc już o wykochaniu.

Francuzi są dyskretniejsi, więc palców nie używają ani do dłubania w nosie, ani do pokazywania sobie rarogów. Ale za to żona ówczesnego prezydenta de la Rèpublique M-me de Filé de Boeuf, jeździła za Dollarem w dokkarze, hypnotyzując młodziutkiego amerykańskiego awanturnika zmatowiałym nieco już, ale bardzo jeszcze pożądliwym wzrokiem 40-letniej pięknej połowy prezydenta Cent-kilo'ta (nie Sans culotte'a).

Jak należy, dwudziestoletni Vivien zapałał ku pysznemu kontrastowi jego Idiota, tęgiej, pięknej, czarnobrewej Filè-de Boeuf'owej; nie wiedział kto ona zacz, a sądząc, że kokota, rzucił jej do dokkara bilecik, na koniu napisany po francusku: „Jesteś piękna, mogę cię kochać, zostało mi jeszcze około 35 milionów dolarów. Czekam na odpowiedź. Hotel Rastacouère. Vivien Dollar".

Pani prezydentowa dość miała zaszczytów

giego rozumowania, które, pokrótce da się streścić w ten sposób: — u podstaw demokracji spoczywa pewna ideologja metafizyczna i religijna: chrystjanizm ogłosił, jako zasadę powszechną, równość dusz wszystkich wobec Boga: Rousseau i Kant, dwaj rodzice demokracji współczesnej, nie uczynili nic innego, jak tylko równość ową przenieśli z niebios na ziemię: wierzyli oni że w każdym człowieku bez różnicy, zarówno w maluczkim jak w największym, żyje pewna dobra wola, równa co do wartości rozumowi teoretycznemu, a może nawet odeń wyższa. Stąd wniosek nieunikniony, że wszyscy jednakowo powołani są do udziału w rządach; stąd też wynika zasada demokracji, głosząca: — wola powszechna wyższa jest po nad wolę oligarchji, tym najbardziej — ponad wolę jednego osobnika.

— Rozumie się, — oponują reakcjoniści, — „całe to rozumowanie jest błędne: nic niema równego pod słońcem; wszystko jest nierównością: uprawiajmy tedy nierówność, na hierarchji opartą: zabezpieczajmy ją dziedzicznie za pomocą majoratów, ekonomicznie za pomocą poddaństwa, społecznie przez podział na kasty, i poddajmy ją pod opiekę jedynowładcy, któryby bronić jej potrafił: stwórzmy a raczej przywróćmy do życia, monarchję absolutną!"

(D. n.) *St. Romanowski.*

Listy z Krakowa.

I.

Wśród młodej demokracji naszej różnych odcieni zwycięża na całej linji zasada kulturalnej pracy bezpartyjnej.

Obradujący w tygodniu ubiegłym w Krakowie zjazd stowarzyszeń młodzieży filareckiej powziął uchwałę, aby najkategoryczniej zwalczać przynależność instytucji naukowych i humanitarnych do zrzeszeń ideowo politycznych. Podobna uchwała zwyciężyła i to nie po raz pierwszy na dorocznym walnym zgromadzeniu uniwersytetu lud. im. Ad. Mickiewicza w Krakowie Stowarzyzenia robotnicze dopominają się coraz wyraźniej nie o wykłady, tłómaczące tę czy ową część programu partyjnego, ale o interesujące tematy literackie, czy naukowe, oraz o wymownych i rutynowanych prelegentów

Zwycięża przeto idea kultury i nauki, które prawdę i piękno noszą same w sobie i to właśnie wśród elementów, które w życiu politycznym szeregują się pod sztandarami o wyraźnych i jaskrawych barwach. Jest to niewątpliwie postęp i dorobek lat ostatnich i wytężonej w tych latach pracy oświatowo-kulturalnej

Niewątpliwe ślady tego dorobku nosił zjazd młodzieży wspomniany wyżej. Przybyli nasi delegaci 16 stowarzyszeń rozsypanych po różnych uniwersytetach zagranicznych, przedstawiciele młodzieży ze Lwowa i Krakowa, którzy razem wytworzyli nowe zrzeszenie, nazwane „Unją stowarzyszeń polskiej młodzieży niepodległościowej postępowej".

Obrady po załatwieniu niezbędnych na zjazdach takich różnic między najbliżej sobie stojącymi stowarzyszeniami, poświęciwszy im może nawet za wiele czasu, obracały się dokoła najważniejszych zagadnień naszego życia narodowego. Uchwalono popieranie szkół polskich w Królestwie, wezwano młodzież polską, aby kształcąc się zagranicą nie pozostawała na emigracji, lecz po ukończeniu studjów wracała do pracy w kraju, łamiąc tym ostrze zarzutu o odrywaniu od życia narodowego jednostek przez kształcenie się w uniwersytetach w Galicji i za granicą. Uchwalono też gorący protest przeciw wyodrębnieniu Chełmszczyzny.

Z innych uchwał, które w sumie świadczą o dojrzałości myśli politycznej wśród tej młodzieży podnieść należy żądanie otwarcia uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie, które powtarza się już na drugim zjeździe i przeciwstawia szowinizmowi narodowej demokracji. Odżywa stara tradycja Towarzystwa demokratycznego, Polak chce być Polakiem, nie przestając być zwolennikiem szeroko pojętego braterstwa ludów.

Przechodzę do spraw lokalnych.

Przegląd rocznego dorobku uniwersytetu ludowego im. Ad. Mickiewicza wykazuje, że instytucja urządziła 340 wykładów w obecności 29 ½ tys. słuchaczów, prowadziła biblio tekę, czytelnię,

---

i skromnych dochodów męża z ubogiej winnicy w departamencie la Piste au Lait oraz z kasy republikańskiej.

Porozumienie przyszło szybko i rozwód z mężem postanowiony. Chodziło o pośpiech. Mąż dostał odszkodowanie, by nie przeszkadzał, a Watykan otrzymał paromilionową fundację dla bractw misyjnych na brzegach Tanganajki.

W trzy tygodnie potem Vivien wziął ślub z roskoszną kobietą, kupił willę w Nizzy i rozbijał bank w Monte Carlo.

. . . .

Miesiące miodowe były na ukończeniu—czas więc już był ruszyć z Nizzy dla zwiedzenia Europy. W Monte Carlo poinformowano go, że w Europie jest właściwie tylko jedno miasto ciekawe, to jest Warszawa, gdyż ono jedyne na świecie całym posiada istny fenomen: Teatr Letni... w zimie.

Pojechali więc państwo młodzi do Warszawy rano rozstawnymi samochodami, zobaczyli teatr letni w zimie i po wysłuchaniu jednego aktu wrócili z powrotem do Nizzy, gdzie byli znów nazajutrz rano.

Vivien był bardzo rad ze swej żony, gdyż wydawała tak szalone sumy, że aż jej zazdrościł tych bezecnie genialnych pomysłów. Najwięcej bawiło go to, jak wykupywała wszystkie miejsca w teatrze i sami we dwoje wysłuchiwali opery.

Kazała mu wreszcie sprowadzić do domu pozostałe kilka miljonów już tylko, a okradłszy go raz w nocy, uciekła z jakimś atletą, championem wszechświata, pozostawiwszy mężowi parę tysięcy na podróż powrotną do antypodów. Vivien nie zdziwił się ani trochę, żal mu było tylko nieco — pięknego jej ciała; sprzedał willę i spróbowawszy jeszcze szczęścia w kasynie, przegrał wszystko i na koszt domu gry do New-Yorku dojechał.

O, jakże jasno teraz świat widział! Jakże poznał ludzi, jakże się zestarzał doświadczeniem, jakże zimno przeszywał wzrokiem bliźnich, jakże mocnym się czuł, beztkłopotliwym, gotowym do rozpoczęcia nareszcie życia.

D. C. N.

systematyczne kursa języków, arytmetyki, stenografji, buchalterji, nie ustawała w pracy oświatowej po fabrykach i stowarzyszeniach. Uniwersytet cieszy się też wielką i zasłużoną sympatją. Wyraża się ona jednak bardzo platonicznie.

Ogrom pracy podjętej i wykonywanej kosztował tylko 19 tys. koron, a zatem połączony być musiał z olbrzymiemi wysiłkami jednostek, w ciasnym lokalu, w warunkach niesłychanie niesprzyjających rozwojowi zajęć naukowych i swobodnej myśli. O gromadzeniu zbiorów, czy przyrządów fizycznych, o pracowniach naukowych marzyć nawet nie można, dopóki uniwersytet niema własnej siedziby. Tłumy publiczności odchodzą od drzwi nie dotłoczywszy się na odczyt, a sale szkół średnich, obszerne aule zawsze gotowe pomieścić odczyt urządzony przez instytucje dobrze notowane w sferach wyższych, pozostają dla prelegentów uniwersytetu ludowego zamknięte. Subwencje wynoszą dotąd tylko 1600 koron, których udzielanie zawsze się z opozycją wśród radców miejskich spotyka.

Zdawałoby się, że instytucja postępuje wbrew tradycji pracy oświatowej w Polsce. Tymczasem to tradycja została tylko zapomnianą i mylnie interpretowaną. Przypomniała ją też w pięknym referacie najgorliwsza pracowniczka uniwersytetu p. Helena Radlińska, rozwijając obraz pracy, zdążającej do oświecenia i uobywatelenia ludu, a rozpoczętej jeszcze w połowie XVIII stulecia.

Z prasy zanotować warto powiększenie objętości i urozmaicenie treści Naprzodu. Przed 20 laty powstał on jako pisemko wychodzące co dwa tygodnie. Pierwszy numer został skonfiskowany przez prokuraturę. Zaharlowany takim chrztem oraz setkami konfiskat, które usiłowały zdusić w zarodku młody ruch robotniczy, przetrwał jednak Naprzód aż dotąd pod kierownictwem i przy współudziale tych samych kilku współpracowników.

Drużyna artystyczna tak liczna w Krakowie, urzeczywistniła oddawna już projektowany pomysł humorystyczno — satyrycznego tygodnika. Dotychczasowe dwa numery *Abdery* wyróżniły się już od dawnej humorystyki, nie dosięgły jednak tych wyżyn, na których przed kilku laty stało Liberum veto.

D-r Daszyńska Golińska.

„Ci, którzy wyszli".

(Dokończenie).

2)

Autor książki, „*Ci, którzy wyszli*", pastor Bourrier, były ksiądz katolicki, postanowił poświęcić się na usługi swych kolegów i braci, których cierpienia tym żywiej odczuwał, że sam przez nie przechodził. Stworzył tedy dla nich wspólne ognisko, czasowy przytułek księży wychodźców, połączony z biurem pośrednictwa pracy, oraz czasopismo *Le Chrétien Français*, duchowy łącznik dla wątpiących, chwiejnych, rozczarowanych, „tych, którzy wyszli" i tych, którzy wyjść zamierzają.

Pismo znalazło silny oddźwięk w szeregach francuskiego duchowieństwa. Prześladowane i zwalczane przez władzę kościelną środkami bardzo żywo przypominającymi walkę naszych księży z *Zaraniem*, rozchodzi się niemniej po plebanjach, choć często ostrożny proboszcz prenumeruje go na imię swego organisty.

Mniej powodzenia miało schronisko. Choć stale zapełnione i przepełnione, nie mogło zdobyć materjalnej podstawy istnienia. Przypuszczać można, że spójnia, łączącą księży wychodźców w pierwszej fazie ich duchowego przełomu, stopniowo się rozluźniała przez dalszą ewolucję a stąd i poczucie solidarności z akcją pastora Bourrier słabnąć musiało. Istotnie też, misja, którą przedsięwziął, miała już w swym założeniu źródło wielkiego, ale tylko względnego i krótkotrwałego powodzenia. Jej wpływ bardzo silny w obrębie hierarchji katolickiej, gdzie działał destrukcyjnie, nie mógł być trwałym i skutecznym poza nią, wśród ludzi, oddanych sprawom świeckim i zobojętniałych dla religijnych zagadnień.

Jest rzeczą wysoce charakterystyczną, że zarówno pastor Bourrier jak wszyscy ci księża, których listy i wyznania wiary przytacza — a jest ich ośmdziesięciu kilku — rozstając się z Kościołem katolickim, bynajmniej nie byli ludźmi niewierzącymi. Przeciwnie, nawet ich zerwanie z Kościołem podyktowane jest pobudkami ściśle religijnymi — a na zasadzie obserwacji osobistych twierdzić mogę, że nie są to bynajmniej fakty wyjątkowe, lecz zupełnie zwykłe, normalne, powszechne. Bez względu na to, do czego dana jednostka z czasem dojdzie, zaczyna zawsze od pragnienia zreformowania religji w duchu najczystszego chrześcijaństwa, od próby reform w obrębie katolicyzmu, dla którego wszyscy ci odstępcy mają przywiązanie zaszczepione w latach młodzieńczych. Pastor Bourrier, obejmując parafję reformowaną w Lèvres w dzień swej ordynacji wyznał publicznie to przywiązanie i oświadczył szczerze, iż marzeniem jego jest przekształcić kościół katolicki w duchu ściśle „ewangelicznej" wiary. „Niema chrześcijaństwa w kościele katolickim", oto niemal jednomyślny okrzyk tych dusz udręczonych i zbuntowanych przeciw obłudzie, zmaterjalizowaniu religji, zniżeniu jej do szeregu mechanicznie spełnianych praktyk i obrzędów.

Poszukiwanie prawdziwego chrześcijaństwa,- chęć zbliżenia się do Boga bez pośredników i bezformalności urzędowych, z prostotą dziecka, przemawiającego do „Ojca Niebieskiego" rzucałaby więk, szość tych dezerterów w objęcia protestantyzmu specjalnie nawet kalwinizmu, gdyby nieliczne gminy reformowane Francji mogły pomieścić tylu duszpasterzy, gdyby masowe nawrócenia na protestantyzm w obecnym obojętnym religijnie społeczeństwie świeckim były możliwe — i gdyby duchy wątpiące i szukające mogły się zamknąć na długo w ramach jednego wyznania, gdyby już wyzwoliły się ze zbyt ciasnych więzów innego. Z kilkuset ex-księży katolickich, o których mówi Bourrier, tylko 12 zostało pastorami protestanckimi, a i ci w najszerszej mierze korzystali z tolerancji i wolności badania, jaką kościół kalwiński dopuszcza. Dążeniem ich było i pozostało stworzenie chrześcijaństwa bezwyznaniowego, religji, opartej jedynie na tych zasadach, które mogą być wspólne wszystkim kościołom, tkwią w samej tradycji ewangelicznej, a nie wykluczają żadnej dalszej ewolucji myśli religijnej. „Postępowi katolicy tylko z postępowymi hugonotami mogą się pogodzić", mówi Bourrier. Ten swój ideał nazywa autor „wyzwoleniem się myśli religijnej". Jego punkt widzenia, wspólny jest nieomal wszystkim wychodźcom w momencie, gdy zrywają z kościołem, jakkolwiek pobudki tego zerwania bywają dość rozmaite.

Jedni oburzeni są, gdy zwierzchność kościelna każe im fałszować wyniki ich naukowych studjów lub odwoływać je publicznie jeśli się z jej

widokami nie zgadzają. Innych razi w kościele dążenie do przewagi politycznej, lub ciągłe zwiększanie przepisów i dogmatów, przez co „wciąż się zmieniają warunki zbawienia". Konfesjonał, zdaniem księdza Lachenal, stał się środkiem pozyskania łask i względów możnych tego świata, nie zaś dbałości o dobro dusz bez różnicy stanu. Wśród wychodźców znajduje się kilku misjonarzy „Zachwycony pozornym bohaterstwem życia misyjnego" jeden z nich ks. Joutfroy, udał się do Japonji i Chin. Tam widział zażartą konkurencję sekt chrześcijańskich i ich wzajemne wyklinanie równie niedorzeczne, jak wewnętrzne zatargi sekt budyjskich. Zetknięcie się z tak zwanym pogańskim światem rozszerzyło jego myślowy horyzont i doprowadziło do idei Boga „daleko prawdziwszej niż katolicka".

Ksiądz Fournier rozczarował się również do pracy misjonarskiej, widząc, jak wiele jest blagi w próżnych przechwałkach, przesyłanych do Europy o rezultatach apostolstwa, które bywa często pokrywką nadużyć i przywilejem do gwałcenia praw tych ludów, którym się Ewangelję głosi.

„Wierzę Chrystusowi, lecz nie wierzę kapłanom Wierzę Ewangelji, lecz nie wierzę waszym kanonom. Wierzę w Boga, lecz nie wierzę jego „namiestnikowi" na ziemi, temu jedynemu spadkobiercy tajemnic zbawienia i nieomylności nauczania".

„Niech inni robią sobie z tych nauk rzemiosło i sposób zdobywania dla się godności i korzyści; ja nie mogę służyć dalej Kościołowi, który jest tylko narzędziem rządu w polityce ludzkiej". Słowa te napisał ks. Reix, kapłan z Li- [illegible]

„Zamiast ludzi wzajemnie do siebie zbliżać, kościół ich rozdwaja. Zamiast być przytułkiem dusz, on staje się dla nich ciemnicą. Zamiast stawiać przed oczy ludzkości bardzo prostą ewangeliczną zasadę: „miłujcie jedni drugich", on jej stawia długą teorję swych wyklęć — pisze ks. Lemonnier.

U ludzi świeckich bardzo często zobojętnienie dla religji przychodzi tak wcześnie, że nie pozostawia wiele czasu na te wewnętrzne roztrząsania niezgodności kościoła z Ewangelją i sprzeczności zasad wiary z polityką i taktyką kościelną. Zresztą jest to dla nich najczęściej zagadnienie czysto teoretyczne, utrata wiary a nawet zerwanie z katolicyzmem nie sprowadza przełomu w życiu. Jest natomiast rzeczą wątpliwą, czy ex-ksiądz może stać się całkowicie obojętny dla spraw religijnych. Jeżeli zrzeknie się marzeń o reformie kościoła, o stworzeniu nowej udoskonalonej wiary, jeżeli w końcu zwątpi o wszystkich religjach istniejących i możliwych, to staje się apostołem niewiary, lecz rzadko zdarza się, by całkowicie stracił z oczu te zagadnienia, którymi duszę jego napełniono i ukształtowano w latach, gdy ona rozwijała się i dojrzewała.

To może właśnie sprawia, że tak trudno po zrzuceniu sutanny znaleźć dla siebie miejsce wśród ludzi zaregestrowanych w różnych gminach wyznaniowych lecz całkowicie składających zbawienie w ręce urzędowych reprezentantów wieczności.

Jeżeli jednak prawdą jest, że społeczeństwo nasze jest w swej większości szczerze religijnym a nietylko konwencjonalnie prawowiernym, a w gruncie obojętnym, to książka pastora Bourrier powinna w nim znaleźć licznych i gorliwych czytelników.

I. Moszczeńska.

Noc Jezuitów.

2)

(Dokończenie).

Jeżeli jednak cała działalność Piotra Skargi przyczyniając się do jątrzenia waśni religijnej, tym samym prowadziła do osłabienia narodu i państwa, jeżeli cały żywot jego jest dowodem rozbieżności interesów państwa i kościoła, to w tym żywocie był moment jeden, w którym sprawa państwowa, sprawa polska, została już nie pominięta na korzyść kościoła, ale wprost na ołtarzu kościelnym w ofierze jezuityzmowi, z a m o r d o w a n a!

Tym momentem, momentem wagi dziejowej była pamiętna w historji naszej „noc jezuitów" podczas sejmu w kwietniu r. 1606.

Różnowiercy, wspierani tradycją potężnych wpływów Jana Zamojskiego, po kilkunastoletnich rozpaczliwych usiłowaniach, wykołatali nareszcie w sejmie upragnione obwarowanie konfederacji, mającej zapewnić wszystkim obywatelom kraju swobodę sumienia i wolność kultu.

Przyjęto projekt z uznaniem koło poselskie, zgodziła się nań rada senatu, nie przeciwiło się jej duchowieństwo w osobie świątlejszych biskupów.

Ustawa tolerancyjna, przedyskutowana już i do przyjęcia przeznaczona, uchodzić może słusznie za chlubę sejmu, który ją z siebie wyłonił, za chlubę polskiej ziemi.

Na burzycieli zborów protestanckich na tumultantów i napastników, wszczynających rozruchy wyznaniowe, naznaczono karę śmierci, nawet gdyby między przeciwnikami do rozlewu krwi nie przyszło. Karze tej podpadać mieli i duchowni. Apelacja ma iść do trybunału, nie do króla. Strona poszkodowana ma być wynagrodzona na dobrach burzyciela. Sądziowie obowiązani składać przysięgę, że w wyrokach nie będą się powodowali swemi przekonaniami religijnemi. Konstytucja dotyczyć miała nietylko zaburzeń gromadnych, lecz i pokrzywdzenia pojedynczej osobistości z powodu religji „choćby też p l e b e j u s był"...

Gdy tak po fali burzliwych starć i niepokojów, sprawa utrwalenia rękojmi tolerancyjnych „blizko już prawie do brzegu przywiedziona została" nagle wszystko rozbić się miało o fanatyzm jednego człowieka, o genjusz jednego człowieka, poparty genjuszem i potęgą ambitnego zakonu.

Genjusz bezinteresowności osobistej oddający wszystkie moce swego ducha, wszystką anielskość serca, na usługi piekielnego egoizmu korporacji, dążącej do ujarzmienia świata,—oto jakim rysuje się obraz Skargi na tle ostatniej nocy sejmowej, w której za jego sprawą projekt tolerancji zdu- [illegible]

Sejm, zrazu pełen zamętu i walki, wypogadzał się stopniowo, przybierając pod koniec znamiona zgody i harmonji. Obrady coraz spokojniejszym toczyły się prądem, zmierzając ku uchwale, która wszystkim dać miała zadośćuczynienie w równości i swobodzie. Gdy zapadł wieczór po ostatnim dniu obrad sejmowych, posłowie z dobrą otuchą rozchodzili się do domów, albowiem rozwaga obywatelska i miłość kraju pozwoliła im dzieła wielkiego dokonać.

Nazajutrz miano uchwałę podpisać.

Nadeszła noc. Król Zygmunt, któremu uchwałę przesłano, długo nie szedł spać, ślęcząc nad powziętą przez sejm konstytucją; umysł jego, oddany tylko religji, przejęty prawowiernością katolicką, stoczył walkę sam ze sobą. Bijąc się z myślami i z sumieniem nie mógł oprzeć się napasta-

jącym go obawom, czy uchwalone rękojmie wolności wyznaniowej nie przyniosą ujmy Bogu katolickiemu.

Niepewny szukał koło siebie jakiejś wskazówki duchowej, szukał rady, szukał ramienia, aby się wesprzeć na nim. W rozterce takiej gdzież go miał szukać, jeśli nie u swego spowiednika i szczególnie umiłowanego kaznodziei, Skargi?

Późno tedy w noc przesłał król skrypt nowej konstytucji do domu Jezuitów, z żądaniem aby ojcowie, wespół ze Skargą, pilnie ów projekt wybadali i orzekli, czy ze spokojnym sumieniem może potwierdzić tę ustawę, tak, aby duszy swej nie naraził na zgubę.

„Ojcowie" zbadali dokument tejże nocy i — „odkryli zdradę"... Znaleźli w konstytucji punkty, które — jak zaznaczyli ze zgrozą — nie tylko w pokoju kazały zachować heretyków, ale nawet bronić katolikom ich i ich herezji.

Dziwny to zaprawdę widok, — czyni uwagę historyk[1]), mnisi w celi rozstrzygają kwestje państwowe. Pochyleni nad skryptem szukają w nim grzechu.

Jezuici postąpili tak, jak im interes nakazywał. Interes ich zaś, jak osądzić możemy z ich „tajnych instrukcyi" wymagał bezwzględnego zduszenia krytyki katolicyzmu ze strony inowierców. Skarga ów święty bojownik przeciw „bezbożnej konfederacji" oświadczył królowi, że potwierdzenie konstytucji legnie zbrodnią na jego sumieniu.

Jeszcze świt nie obrzasł, czytamy w pracy W. Sobieskiego — już ksiądz Piotr, siedmdziesięcioletni starzec, rozgorzały i zacięty w niezwalczonym uporze, wczesnym rankiem obchodził duchownych członków senatu, którzy dnia poprzedniego zgadzali się na uchwałę konstytucji; następnie udał się do niektórych posłów ziemskich i całą potęgą swej wymowy zjednał ich, aby głośno w samej izbie zaprotestowali przeciw rzeczonej ustawie.

Sejm — nazajutrz został zerwany.

Ten sam sławny kaznodzieja, z gwiazdą proroków biblijnych u gniewnego czoła, który tak wspaniałe gromy rzucać potrafił na bezrząd Rzpltej, tu pobudzał do v e t a! Ten, kto wszystkich nawoływał jęczącymi słowy do opatrywania ran i krzywd ojczyzny, sam najboleśniejszy cios własną ręką jej zadał, uświęcając swoim strasznym przykładem złowrogie w dziejach naszych „Liberum veto" swawoli szlacheckiej, dumy rozkiełznanej lub zemsty.

Historja przekleństwem obarczyła pamięć haniebnego posła z Upity, nie dostrzegając, że był on tylko jednym z późnych wykonawców nieszczęsnego testamentu, jaki narodowi swemu pozostawił Skarga „praecipuus turbator Reipublicae" — główny wichrzyciel Rzeczypospolitej, jak nazywali go współcześni, nie oślepieni jeszcze blaskiem jego sztucznej aureoli.

J. Pomirski.

KRYTYKA.

Zza kulis krytyki literackiej.

III.

Nie łatwiej jest zachować miarę przy ocenianiu nowicjuszów w literaturze. Zwykle ocenia się się ich nader przychylnie i to nietylko z gościnności. Przedewszystkim dlatego, że każdy nowicjusz, wybijający się ponad przeciętną miarę, reprezentuje jakąś nową, ciekawą indywidualność, nowy ton, styl, jest się więc skłonnym zachowywać w jego książce jako plus to, co się przy książce autora znanego już, samo przez się rozumie. Powtóre, nie wie się zupełnie, jak się rozwiną różne zarodki w talencie autora, które są więcej lub mniej istotne. I tak np. Glass okazał się raczej mistykiem i stylistą w guście Przybyszewskiego, niż satyrykiem, na jakiego zakrawał; w Nowaczyńskim żyłka filozoficzno-zbieracka wzięła górę nad satyryczną, Nałkowska sprawiła zawód tym, którzy ją uważali za autorkę na tematy socjalne i pionierkę praw „nowej kobiety".

Te wszystkie względy ostrożności i łagodności odpadają przy następnych dziełach autora. Lubi się wtedy stwierdzać, że się doznało rozczarowania, że następne dzieła nie mają pierwotności i świeżości pierwszego, że autor powinien był pójść nie tą ale tamtą drogą i t. d. W takich krytykach brzmi nieraz jakby nuta odwetu za hymny, piane przy powitaniu tegoż autora, jako nowego talentu; gdy wchodził do salonu literatury z pierwszą książką pod pachą, brało się go za rączkę jak nieśmiałe dziecko, ale gdy wydał dzieło drugie i trzecie, trzeba mu przytrzeć rogów, aby się nie uważał za boga. Są jednak także krytycy, którzy nawet dla pierwszych dzieł szczędzą uznania. Są to ludzie ostrożni — bo nuż później pokaże się, że nowa gwiazda była tylko zapalonym wiechciem słomy? Na cóż miałby krytyk kompromitować swój dar proroczy? A jeżeli się pomyli, jeżeli wiecheć okaże się gwiazdą, no to krytykowi pozostaje ten regres, że sobie wówczas jeszcze wyższy ideał wyobraził.

Wogóle wymykać się uznaniu za pomocą stawiania wygórowanych teoretycznych postulatów, jest rzeczą dość częstą. Jeszcze częstsze są jednak banalne pochwały ludzi, którzy żadnych postulatów nie mają. Rozpętać przeciw sobie zajadłość tego odłamu krytyki, jest dla autora większym tryumfem niż jej chóralne brawo. Tak Fokion, gdy tłum bił mu oklaski, spytał zdziwiony: zapewne jakieś głupstwo palnąłem! Dlatego dziś właściwie każda pochwała z ust krytyka może budzić podejrzenie, jeżeli nie jest umotywowaną; najlepiej zaś wygląda pochwała dopiero na tle sprytnie skontrastowanych nagan, którymi się zarazem poręcza swą szczerość i bezinteresowność. Naodwrót praktykuje się naganę na tle pochwał, co wygląda zawsze tak, jakby krytyk za cenę paru wyszarzanych komplementów na odczepne kupował sobie prawo przejechania się po autorze.

Jedną z najbrzydszych przywar naszej krytyki jest stawianie autorowi zarzutów technicznych bez zdania sobie sprawy, czy autor takie zarzuty znał czy nie, i jeżeli znał, jak się z nimi w swoim sumieniu artystycznym uporał. Ma się wtedy wrażenie, że krytykowi chodzi tylko o zaskoczenie i zdziwienie autora i czytelnika znawstwem pewnych wyrazów i subtelności technicznych, gdy np. nagle z tryumfem rzuca na tapet dyskusji rozróżnienie między koniecznością a przypadkiem, przedstawieniem a relacją, allegorją a symbolem. Naturalnie, że autor może grzeszyć przeciw pewnym prawidłom estetycznym i technicznym, chociaż sobie z nich zdaje sprawę, lecz wtedy cała kwestja stoi inaczej, wtedy musi krytyk brnąć w gąszcz dalszych pytań: czy ma tu do czynienia z niemocą artystyczną, czy z nową zasadą twórczą, czy z niemocą, która się chroni poza nową

[1]) Dr. Wacław Sobieski: „Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III" — str. 12t.

zasadą i t. p. Ale krytyka nasza takich pytań, wogóle, sobie nie zadaje i szafuje zarzutami technicznymi z podziwu godną pewnością siebie i pewnością kryterjów, którymi się posługuje.

Podejmuję się zgnębić każdego autora, gdy wyprowadzę przeciw niemu w pole tak ruchome pojęcia, jak: styl, forma, treść, akcja, djalog, charaktery, wierność psychologiczna, symbol, przypadki i t. d i powołując się na jakieś jużto niby ogólnie znane, już to dopiero teraz przezemnie krytyka, nb. do spółki z czytelnikiem, odkryte prawo estetyczne, udowodnię, że autor nie uczynił im zadość. Krytyk może zawsze temi pojęciami tak manipulować, że autor skazany jest na jego łaskę i niełaskę. Coś w rodzaju „Krytyki czystego rozumu" w odniesieniu do tej dziedziny należałoby jeszcze napisać; Brzozowski w swych książkach tylko zaznaczył to zadanie, lecz go nie wykonał.

Szczególnie krytycy młodzi odznaczają się tą pewnością siebie, szafują pouczeniami i wybijają otwarte drzwi. A równocześnie objawiają zupełny brak charakterowego samokrytycyzmu, gdy w tonie papieskich „motu proprio" puszczają w świat swoje odkrycia estetyczne, zaopatrzone w takie gwarancje jak „ja twierdzę" „moim zdaniem", „moja teorja". Kto twierdzi? Człowiek całkiem nieznany, którego podpis czyta się może po raz pierwszy. Tupet takich objawów stoi zwykle w odwrotnym stosunku do tęgości uzasadnień. Wtrącenie swego „ja", przerywające spokojny tok wywodów objektywnych, powinien pisarz zawsze odczuwać jako zepsucie linji, uważać za coś jakby nagłe pojawienie się na scenie marjonetek ręki przesuwającego. Może ono być nieraz koniecznym, tam np., gdzie wymijanie go musiałoby uczynić styl sztucznym, lub gdzie można być pewnym, że użycie zwykłego „my" spotka się z opozycją czytelnika, lub gdzie zaznaczenie, że jakieś zdanie jest tylko osobistym, wyraża raczej wątpliwość, wreszcie tam, gdzie chodzi o stwierdzenie faktu — ale jeżeli nie tak!, to obawa wywołania uśmiechu na twarzy czytelnika nakazuje unikać zwrotów, mających choćby pozór zarozumiałości. Zwroty takie rażą nawet u krytyka, posiadającego pewien autorytet, bo i taki powinienby prawo do ferowania wyroków właściwie za każdym razem na nowo legitymować, choćby przez jakąś nawiasową subtelność, po której poznaje się gracza. Jest to nieodzowne zwłaszcza wtedy, gdy brak miejsca nie pozwala na dłuższe wywody.

(C. d. n). *Karol Irzykowski.*

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

.*. *Ex Occidente Lux.* Chłop i robotnik polski, lądując w Nowym Jorku, dostaje się do środowiska zupełnie innego, niźli to, w jakim wychował się i wzrastał.

Grzmiące tempo życia, rzeźki, demokratyczny klimat młodego społeczeństwa cudowne nieraz wywołuje skutki. U ludzi zdolniejszych budzi się nagle czynna i twórcza świadomość, prostuje się duch zgięty apatją i lenistwem, bielmo spada z oczu i poczynają one patrzeć na świat bystro i śmiele.

Więc też w prasie polskiej za Oceanem płyną wartkie myśli, krzyżują się i błyskają poglądy i zdania oryginalne, których próżno by szukał czytelnik po łamach naszych kurjerków... Nawet polemika tamtejsza ze względu na doniosłość poruszanych tematów (nie osób!) zasługuje nieraz na uwagę.

Niedawno *Gazeta Polska* w Chicago z bilansu ilościowych sił i zasobów polskości taki wysnuła wniosek:

Jest nas na świecie dwadzieścia pięć miljonów. W samym centrum Europy przebywa nas około 20 miljonów.

Sam ten fakt jest tak donośny, że uderzy odrazu każdego myślącego człowieka i pobudzi go więcej do zajmowania się nami, niż najlepsza powieść, lub najbardziej wzruszające zdarzenie z martyrologji.

Jesteśmy siódmym z rzędu co do liczby dusz narodem na całym świecie.(?) Liczniejszym od nas jest jedynie angielski, niemiecki, rosyjski, hiszpański, francuski i włoski.

Cyfra powyższa na każdym politycznie rozumującym człowieku robi wrażenie siły i z siłą się będzie liczył.

Na siłę też naszą we wszelkich formach wskazywać należy — nie na słabość! Poważniejszy czytelnik obcej nam narodowości niewątpliwie przeczyta notatkę o nowej szykanie, jakiej doznaliśmy w Poznańskiem, ale zastanowi się dobrze, przeczytawszy, ile tam wynoszą oszczędności polskie w bankach polskich tamtejszych, lub się dowie, że jest nas tu i tam tylu, a tylu, jedną mających duszę i jedną nadzieję i zdolnych do czynów ofiarnych

Na to, co w nas siłą, nie zaś na to, co o bezsile naszej świadczy, wskazywać powinniśmy.

Te słuszne skądinąd uwagi objęte nagłówkiem: „*Ojczyzna Polaków—Świat Cały*" kwestjonuje tygodnik *Straż*, wychodzący w Scranton, pytaniem: „*Czy To Pomoże Wiele?*" I tak wątpliwość swoją motywuje:

To wskazywanie na liczebną siłę Polaków może mieć czasem jakiś dodatni skutek, ale bardzo mały.

Miałoby duży skutek, gdyby poza liczbą, znaczną kupą polskiego narodu na świecie, stała inna potęga, potęga twórczego naprawdę życia.

Ale tego u nas niema jeszcze we właściwym tego słowa znaczeniu. My jesteśmy dotąd narodem przeżuwającym i pomocniczym.

My się chlubimy, że posiadamy wysoką kulturę, ale ta kultura to z nielicznymi wyjątkami, zlepek obcych kultur.

Jedynie tylko na polu sztuki, a więc w pisarstwie, malarstwie, muzyce stworzył polski naród w porozbiorowych czasach oryginalne rzeczy, choć nie doprowadził do powstania polskiej szkoły, ale poza sztuką, Polak przeżuwa tylko obce produkty, karmi się dotąd obcą strawą. We filozofji idą Polacy albo za Kantem, albo Heglem, albo Haecklem i Wundtem albo Komtem, Spencerem i innymi twórcami nowych systemów filozoficznych.

Dotąd nie mamy polskiej filozofji w tym znaczeniu, jak mają Grecy, Niemcy Francuzi albo Anglicy.

W religji trzymamy się z małym dotąd wyjątkiem pleszcza rzymskiego i to, co wymyślili na tym polu średniowieczni mnisi i biskupi rzymsko-katolickiego kościoła, to jest dotąd dla polskiego narodu nieomylną, boską nauką.

Boimy się popatrzeć na Niebo własnymi oczami.

W przemyśle i handlu jesteśmy także dotąd

odbiorcami, uczniami co najwyżej takich narodów, jak Niemcy, Anglicy, Amerykanie, Francuzi i Włosi.

I w innych przejawach naszego życia podobne zajmujemy stanowisko, czyż więc rzecz dziwna, że obcy mało o nas wiedzą, że się mało z nami liczą?

Nam potrzeba więc nie tyle chwalby, że nas 22 albo 25 miljonów na globie ziemskim, ale nam trzeba dowodów, żeśmy narodem jednolitym, żywym, twórczym nietylko przeznaczonym na to, aby podtrzymywać walący się tron papieski, oparty o przesądy i fanatyzm, albo zdobywać kardynalskie kapelusze dla ajryszy, albo bogacić Niemców i żydów, ale żeśmy narodem, mającym swe własne cele, swą własną przyszłość przed sobą.

Oto iście męska djagnoza polityczna, surowa, lecz trafna, nieco brutalna w tonie, ale zacna w intencjach! Jakże góruje ona ponad przeciętną normą chwiejnych, banalnych, rozstrzelonych i splątanych metod naszej publicystyki, organicznie jakby niezdolnej, z małemi bardzo wyjątkami, do śmiałego rzutu oka na całokształt naszych spraw i celów.

*** *Nowe pisma.* W Warszawie od Nowego Roku począł wychodzić nader pożyteczny dwutygodnik pod redakcją Al. Grankego—*Polski Przegląd Kupiecki* — poświęcony sprawom handlu przemysłu polskiego.

Pismo rozporządza obszernym działem ogłoszeniowym firm i zakładów polskich.

Prócz tego czasopisma ukazał się w Warszawie nowy tygodnik obrazkowy—*Złoty Róg.*

W Pułtusku rozpoczął swe istnienie nowy organ prowincji polskiej—*Hasło.*

KRONIKA.

ROK PRACY UNIWERSYTETU LUDOWEGO W KRAKOWIE. Uniwersytet Ludowy jest najsympatyczniejszą z krakowskich instytucji oświatowych. Jakkolwiek bezpartyjny, jakkolwiek gromadzący w zastępach swoich pracowników ludzi o najrozmaitszych przekonaniach politycznych, potrafił istotnie, nie na papierze tylko zbliżyć się do ludu pracującego i zdobył sobie wśród niego wielką popularność i niekłamany szacunek.

Operuje budżetem rocznym 19,041 koron.

Zgrozą wprost przejmuje fakt, że do dziś dnia Uniwersytet Ludowy nie może dostać od miasta s a l i n a w y k ł a d y! Proszono, pukano, apelowano przez prasę — nadaremnie! „Ojcowie" miasta są niemi i głusi... I w szczupłym lokalu przy ul. Szewskiej nieraz gromadzi się parę setek żądnych wiedzy słuchaczów i słuchaczek, dusząc się i przeziębiając się, niekiedy mdlejąc z gorąca i zaduchu. A są to ludzie pracy, przychodzą na wykłady Uniwersytetu Ludowego po całodziennej, wyczerpującej nieraz pracy w warsztatach, szkołach i biurach. Prelegent nie może mówić z zaduchu, słuchacze mdleją z gorąca — w „polskich Atenach", jak lubimy nazywać Kraków. Lecz „ojcowie miasta" siedzą cicho. Kiedyż doczeka się w tym względzie skutecznej pomocy instytucja, która chyba więcej, niż jakakolwiek inna, ma prawo do wydatnej pomocy [illegible]

W s a l i g ł ó w n e j w roku sprawozdawczym odbyło się 154 wykładów z ogólną cyfrą 18 tysięcy słuchaczy.

Jeszcze ciekawszymi są dla nas cyfry, dotyczące wykładów w s t o w a r z y s z e n i a c h r o b o t n i c z y c h W roku sprawozdawczym odbyło się w Krakowie 186 takich wykładów z ogólnym udziałem 11,421 osób. Jest to cyfra potężna. Wykładów przyrodniczych było 38%, historycznych 23%, z dziedziny piśmiennictwa i twórstw pięknych 17%, społecznych 5% i t. d.

Książnica wypożyczyła 38,125 tomów. Księgozbiorki ruchome obsługiwały najdalsze zakątki Galicji i Śląska. Przy Un. im. Adama Mickiewicza istnieje archiwum oświatowe i społeczne.

Nie możemy też nie zatrzymać się nad pracą oddziałów prowincjonalnych. Szybko się rozwija oddział lwowski (37 wykładów, liczne wycieczki); owocną pracą wyróżniały się oddziały: jasielski (59 wykładów) i nowosądecki. Świeżo się ukonstytuowały i rozpoczęły pracę oddziały w Sanoku i Stanisławowie. Rozległą dzielnicową pracę wśród robotników polskich prowadził oddział wiedeński. Oddział młodzieży założył i prowadził Ognisko oświatowe w Dębnikach.

Słowem, na całej linji żywa i umiejętna praca. Postępowa część społeczeństwa galicyjskiego może być dumną, że stworzyła i utrzymuje tę wzorową instytucję, tak dziwnie odbijającą od ponurego tła galicyjskiego.

O G Ł O S Z E N I A.

Wydawnictwa „PRAWDY".

Antoni Menger: Prawo do całkowitego wytworu pracy CENA **k. 75**

Karol Gide: Rozwój instytucji społecznych w ciągu XIX stulecia **rb. 2**

Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk[illegible]

W warszawie: miesięcz[illegible]

Z przesyłką poczt. do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb 10

Za zmianę adresu dopłaca się [illegible]

Sekretarz redakcji przyjmuje [illegible] codziennie, oprócz niedziel i świąt [illegible]

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy [illegible] nictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie [illegible] cji pisma i w kjoskach

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem [illegible] I świąt, od godz. [illegible]

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, S-to Krzyska 11.